



**DMITRY GLUKHOVSKY**

**KONIEC DROGI**

DMITRY GLUKHOVSKY

# **KONIEC DROGI**

przekład  
Paweł Podmiotko

 **Insignis**

Opowiadanie *Koniec drogi* napisałem w 2006 roku przy wtórze pocisków Hezbollahu, kiedy byłem korespondentem rosyjskiej telewizji w izraelskim mieście Kirjat Szemona. Z tamtej perspektywy nuklearny koniec świata, na który prędzej czy później sami się skażemy, wydawał się bardzo prawdopodobny. Opowiadanie powstało szybko: odgłosy ostrzału i wybuchów bardzo mnie inspirowały. Nigdy nie planowałem rozpocząć tym tekstem powieści ani osobnego cyklu opowiadań. Mimo to bohaterowie *Końca drogi* zaczęli żyć własnym życiem. Wzmiankę o nich, jeśli będziecie czytać uważnie, znajdziecie w *Metrze 2034*. Z drugiej strony sądzę, że historia chłopca i starca, wędrujących opuszczoną, niekończącą się drogą (obecnie ukończoną), zasługuje na coś więcej niż opowiadanie. I jeszcze jedno: wtedy nie miałem pojęcia o istnieniu *Drogi* Cormaca McCarthy'ego, więc nie wińcie mnie, proszę, za jakiegokolwiek zbieżności.

Dmitry Glukhovsky

# 1

O Drodze wiedzieli oczywiście wszyscy we wsi, w tym i Wańka.

Ich własny utarty trakt, pełen tonących w płynnym błocie wybojów, nie prowadził do niej, ale w przeciwnym kierunku, do Matwiejewki i nad rzekę. A w stronę Drogi, błędząc, nurzając się w krzewach wilczej jagody z owocami wielkości dziecięcej pięści, niemal zupełnie niknąc w wysokiej trawie, biegła tylko jedna niepozorna ścieżynka, nieuczęszczana już od Bóg wie jak dawna. Nie było tam nic do roboty, na tej Drodze, i każdy we wsi to rozumiał. Wcześniej, mimo ostrzeżeń rodziców, zapuszczali się tam chłopcy: na twardej ciemnej nawierzchni można było rysować odłamkami silikatowych cegieł, a i piłka lepiej się od niej odbijała. Potem kilkoro dzieci, które wymknęły się pobawić na Drodze – zaginęło, i od tej pory była uważana za miejsce przekłete, niedobre. Ale zapomniano o niej przede wszystkim dlatego, że Droga donikąd nie prowadziła, nie było więc po co tam chodzić.

Gdyby tamtego dnia Wańce nic szczególnego się nie przydarzyło, to pewnie nigdy nie poszedłby w stronę Drogi. Przeżyłby całe życie – jak się poszczęści, z pięćdziesiąt lat – w domu rodzinnym i nie pchałby się dalej niż do Matwiejewki. Co miałby robić na Drodze? Wilki karmić?

A ucieczka z domu właśnie w tamtym kierunku była pomysłem głupim i z góry skazanym na niepowodzenie. Po co? Dlaczego nie do jedynej wsi w okolicy, do ludzi, tylko właśnie na Drogę? Chyba tylko po to, żeby sprawdzić swój upór i odwagę – jak długo można iść donikąd, zanim zawrze się ze sobą poniżającą ugodę i z ulgą zawróci do domu.

Oczywiście kiedyś przynajmniej na jednym końcu drogi coś było. Starzy mieszkańcy mówili, że jeśli po wyjściu na Drogę przez cały czas iść w lewo, w pięć dni dojdzie się do Bir-Dżanu, a po kolejnych dwóch tygodniach będzie Chabar.

Chabar to coś jak ich wioska albo Matwiejewka, tylko większy, wprost ogromny, i wszystkie domy są tam z cegły, jak ich szkoła i budynek sielsowietu\*. Prawie wszystkie są piętrowe, a niektóre mają nawet trzy lub cztery kondygnacje, chociaż to niepojęte, jak takie wysokie budowle mogły stać i się nie zawalić.

A może starcy po prostu łgali, podbijali swoją cenę: kto by ich jeszcze karmił, gdyby nie te ich wszystkie bajki i wspomnienia? Nawet jednej zimy by nie pociągnęli. A tak – sama przyjemność: w styczniowy wieczór zebrać się w klubie, zapalić łuczywo, rozlać samogon do szklanek i słuchać, jak Michałycz albo dziadek Marat, ocierając spoconą łysinę, opowiadają, jak wszystko wyglądało w dawnych czasach. Wielu dorosłych jeszcze coś tam pamiętało, ale niezbyt dobrze: oprócz pary starców we wsi nie było nikogo, kto miałby więcej niż trzydzieści lat, wszyscy poumierali przez Czarną Chmurę.

Sam Wańka miał trzynaście – wiek, kiedy zaczynasz rozumieć, że rodzice na niczym się w życiu nie znają i w ogóle wszystko jest u nich na opak. Ale spróbuj tylko zaprotestować –

ojciec Wańki był myśliwym, człowiekiem surowym, dyskutować z synem nie zamierzał, argumentował coraz to grubszym słowem i twardymi kułakami. Błada, słaba matka kochała Wańkę, ale nie ważyła się go bronić.

Do tamtego dnia wszystko jakoś szło. Chociaż Wańka, uchylając się zręcznie przed ojcowskimi razami, odszczekiwał się coraz śmieiej, tamten, jak się zdawało, gotów był dalej znosić jego wybryki i wymądrzanie się. Za jakieś trzy lata ich stosunki mogłyby się ułożyć, Wańka nauczyłby się wyrozumiałości, a ojciec pogodził z tym, że w domu są teraz dwaj mężczyźni i każdy z nich ma prawo do własnego zdania.

Nie można powiedzieć, że myśli o ucieczce nie nawiedzały Wańki wcześniej: kiedy siedząc w szopie po tym, jak oberwał w ucho, albo przeczekując ojcowski gniew, mówił sobie, że nie da się już tego wytrzymać. Ale ojciec szybko się uspokajał, a i sam Wańka nie umiał długo się dąsać, więc przy kolacji rodzina najczęściej była już razem, chociaż każde gapiło się ponuro we własny talerz.

Ale takiego poniżenia Wańka w żaden sposób nie mógł wybaczyć. Po pierwsze, nie zasłużył na to trzepnięcie – ojciec po prostu wyładował na nim złość za nieudane polowanie: dwa dni spędził w lesie, wrócił z poszarpanym ramieniem, o czym świadczyła zaskorupiała krwawa plama na pół rękawa, z pustym kołczanem i tylko jedną kuropatwą, chociaż zasadzał się na łosia. Mała akurat chorowała, choć było lato, matka denerwowała się i prosiła, żeby ojciec daleko nie odchodził, a on próbował trafić coś większego – żeby nasuszyć mięsa na zapas. No tak, Wańka powiedział mu: „Coś nie widać tego łosia. Wpadnie później?”. Ale żeby uderzyć go tak, że nie od razu mógł podnieść się z ziemi? Sprawę komplikował fakt, że wszystko wydarzyło się przy Wieroczce sąsiadów. Wańce podobała się już od siedmiu miesięcy, od Nowego Roku, ale na początku nie zwracała na niego uwagi, bo przyjaźniła się z tyczkawatym Saszką Winogradowem, starszym od nich o trzy lata. Wańka nie był dla Winogradowa rywalem, trzeba było czekać, aż się z Wieroczką pokłóci. Nieszczególnie wierzył w sukces, ale nie szczędził prób zyskania sympatii pięknej jasnowłosej sąsiadki. Co z nią robić, jeśli wszystko wypali, tego Wańka na razie dobrze nie wiedział, ale każdego wieczora, zamykając oczy, widział przed sobą jej umazane poziomkowym sokiem pulchne usteczka, prześladowujące go od czasu, kiedy spotkał ją z koleżankami w zagajniku przy zbieraniu jagód.

Tak szczerze, to i żart o łosiu Wańka rzucił w nadziei, że zdobędzie u Wieroczki jeszcze jeden uśmiech, a o uczuciach ojca jakoś nie pomyślał. I już po chwili leżał w kałuży: ojciec, niewiele myśląc, przyłożył mu tak, jak to miał w zwyczaju – otwartą dłońią w ucho, z boku, ale tym razem nie żałując siły.

Nieznośnie huczało mu w głowie, przed oczami przesuwaly się jasne kręgi i Wańce jeszcze ze trzy minuty nie udawało się wstać – przez cały ten czas chwiał się, stojąc na czworakach w kałuży, próbując nabrać powietrza i powstrzymać zawroty głowy. Ojciec więcej go nie bił: ograniczył się do splunięcia pod nogi i pogardliwego: „Niewdzięczna świnią!”.

Kiedy Wańka w końcu zdołał się wyprostować i potoczył zmętniałym wzrokiem dookoła, nie zobaczył ani ojca, ani Wieroczki. Po czymś takim nie było nawet co myśleć o tym, żeby się do niej zalecać i na cokolwiek liczyć. Ani po godzinie, ani po trzech godzinach siedzenia w szopie to, co się stało, nie zaczęło wydawać się Wańce mniej tragiczne. Nie umiał sobie nawet wyobrazić, jak będzie teraz chodził tą samą ulicą co Wieroczka. Ojca wprost nienawidził. Wymieszana ze wstydem wściekłość sprawiała, że w ciągu kolejnych kilku godzin obmyślał mniej lub bardziej naiwne plany zemsty, ale potem, kiedy ból ucha zaczął

przechodzić, odrzucił je i postanowił po prostu uciec na zawsze z domu. Ale dokąd?

W Matwiejewce ojciec odnajdzie go raz-dwa, tam pójdzie w pierwszej kolejności. Do lasu? I co tam robić? Błąkać się po pobliskich polanach, płosząc grzybiarzy, póki nie znudzi mu się żarcie jagód i surojadek i nie zachce do mamy na zupełę? Nie, do czegoś takiego zdecydowanie potrzebny jest cel. Pójść Drogą – albo do Chabaru, albo w przeciwnym kierunku – wydało się Wańce bardzo dobrym pomysłem. Widocznie od ciosu ojca w ucho poprzestawiało mu się w głowie.

W Chabarze nie było teraz żywej duszy, a już na pewno ludzi: wszystkie miasta spalili na samym początku, a promieniowanie było tam pewnie takie, że już na podejściu zaczyna drapać w gardle, a potem chwila i mdlejesz. A jeśli stracisz przytomność, to już po tobie: łykniesz taką dawkę, że nie zdołasz wstać i upieczesz się żywcem.

Ale to tylko takie przypuszczenia... Wiadomości z Chabaru nie docierały od prawie dwudziestu lat i zarośnięci włóczędzy pojawiający się z rzadka na Drodze nie umieli o nim opowiedzieć niczego wiarygodnego. Ktoś przysięgał, że z miasta została tylko wypalona pustynia, a z domów nie ocalała nawet jedna cegielka, tylko półmetrowa warstwa sadzy i popiołu. Inni – przeciwnie, zaklinali, że budynki wciąż stoją nienaruszone, a do tego nocami w oknach pali się światło. Najpewniej ci włóczędzy byli po prostu z odległych wiosek i nie odchodzili Drogą od domu dalej niż sto kilometrów; większość nie ważyła się nawet i na to, skoro sławę odważnych podróżników i kawałek chleba mieli już zapewnione.

Może Wańka liczył na to, że kiedy wróci ze swojej wyprawy doroślejszy i mocniejszy, opowieściami o tym, co zobaczył, zdoła przyćmić w oczach Wieroczki żaloszny obraz chudego chłopaczka, który nadział się na strzał otwartą dłonią i bezradnie grzebał w błocie, nie mając siły wstać?

Chociaż wędrowców nigdy z wioski nie wypędzano, ci pojawiali się w niej coraz rzadziej – na Drodze robiło się niebezpiecznie, coraz bliżej podchodził las, miejscami ze szczelin w asfalcie wyrastały już młode sosenki. Co prawda pęknięć było na razie niewiele: nawierzchnię położono solidnie. Wytrzymała już mróz piętnastoletniej syberyjskiej zimy, teraz zaś – kiedy pył zaczął z wolna opadać, a latem słońce coraz mocniej przygrzewało – także lipcowe upały.

Ostatni obcy, jeśli nie liczyć matwiejewskich, zabłąkał się do wsi jakieś trzy lata temu. A już w Matwiejewce, która w ogóle leżała na uboczu, nie słyszeli o takich już od pięciu lat.

Do Matwiejewki było około sześciu kilometrów. Prowadząca tam leśna dróżka była nędzna, do tego kręciły się przy niej wilki, i choć jeżdżono do sąsiadów wozami na resorach, całymi kolumnami i z bronią, zawsze planowano powrót przed zmrokiem. Trakt nie zarastał: zarówno wioskowi, jak i matwiejewscy nie lenili się i usuwali przewrócone drzewa, wycinali podchodzące zbyt blisko skraju drogi trujące kolczaste krzaki, a nawet zasypywali piaskiem najgłębsze wyboje, na których mogły się połamać kosztowne, zrobione z rdzewiejących samochodów wozy.

A jak inaczej... Oprócz Matwiejewki ludzi w okolicy nie było na dobre pięćdziesiąt kilometrów dookoła, a może i odleglejsze wsie też zniknęły, nikt przecież nie poleci sprawdzać. Ale Matwiejewka to inna rzecz: mieli z nimi umowę o wzajemnej pomocy, gdyby napadły ich dzikusy albo zwierzęta, albo zimą skończyły się zapasy. Ich wieś zginęłaby bez Matwiejewki – tamci mieli rzekę, ryby, w zimie tylko w nich była nadzieja. Ale i matwiejewskim nie byłoby łatwo: ziemia była u nich licha – piasek i glina – na takiej tylko sosny można sadzić, a ziemniaki i inne warzywa lubią przecież, jak jest tłustiej. Wcześniej,

w pierwszych latach, można je było uprawiać tylko w domu – w donicach, ale teraz niebo się oczyszczało, lata stawały się coraz cieplejsze i własny duży ogród miał już prawie każdy mieszkaniec wsi. Nie, nie chciał iść do Matwiejewki. Co to za ucieczka? Taka tam przechadzka...

To ta głupia chęć zrobienia czegoś prawdziwego, zdecydowanego, popchnęła go na Drogę, a kiedy stanął przed wyborem – iść w prawo, do Chabaru, czy w lewo – poszedł w lewo, w nieznaną.

Odkąd Wańka pamiętał, z lewej jeszcze nikt nigdy nie nadszedł – wszyscy wędrowcy przybywali z prawej. Kiedy dowiadywali się od miejscowych, że za ich wsią ludzkich siedzib nie ma podobno przez setki kilometrów, a we wlewającej się na Drogę leśnej gęstwinie trafiają się gigantyczne wilki, które potrafią w pojedynkę porwać całego byka, podróżnicy najczęściej tracili cały bojowy animusz i odchodzili z powrotem – tam, skąd przyszli, w prawo. Zaś ci nieliczni, którzy ośmielali się jednak pójść w lewo, nigdy już nie wracali, w każdym razie nie do ich wsi.

Wańkę, kiedy zastanawiał się nad Drogą, dręczyła niespokojna myśl – jak to możliwe, żeby z lewej strony zupełnie niczego nie było, jeśli prowadziła tam taka wspaniała szeroka asfaltowa szosa?

Noc spędził w szopie, nie mając ochoty na spotkanie z ojcem. Kiedy wszyscy się położyli, wślizgnął się ukradkiem do kuchni, pochłęptał zimnej zupy ze schowanego przez matkę w piwnicy garnka, nabrał ile wlezie suszonego mięsa i sucharów, zwinął nóż myśliwski ojca, wziął swój łuk ze strzałami i przyczaił się, czekając na świt.

Wrota na noc zamykano. Można było spróbować przedostać się przez otaczający wieś podwójny, wysoki na trzy metry ostrokół z sosnowych pali, ale mogliby zauważyć Wańkę z wieżyczek obserwacyjnych i, Boże uchojaj, zastrzelić. Do tego w przestrzeni między rzędami pali biegały stróżujące złe psy i Wańce kompletnie nie uśmiechało się, żeby tam wpaść. W najlepszym razie udałoby mu się wtedy wykić porwanymi dzinsami i dwutygodniowym aresztem domowym.

Takie środki ostrożności nie były we wsi przesadne: chociaż o dzikusach ludożercach nie słyszano już od paru lat, wcale nie oznaczało to, że ostatecznie opuścili okolicę. Zanim mieszkańcy wsi wspólnie z matwiejewskimi dali im odpór, ci ciągle kradli bydło, napadali na grzybiarzy, a potem podrzucali pod bramę wioski odcięte głowy porwanych z wykłutymi oczami.

Od czasu, gdy dwustu wojownikom, których wystawiły wspólnie dwie wioski, udało się wziąć z zaskoczenia naprzykrzające się im stado dzikusów i wyrznąć wszystkich w pień, w okolicy zrobiło się spokojniej; teraz ludzi niepokoiły tylko wilki i wielkie nietoperze. Niebawem okrucieństwo, z jakim chłopcy rozprawili się z dzikimi, zrównało ludzi ze zwierzętami, ale zapewniło im kilka lat ciszy i spokoju. O tym, co stało się z samicami i młodymi, które polujący odkryli po bitwie na dalekiej polanie, nie opowiadali nawet najbardziej gadatliwi z nich; smolisty słup dymu unoszący się ciężko nad tamtą przesieką przyciemniał niebo jeszcze bite dwa dni.

Jednak w pobliżu mogły błędzić i inne stada, dlatego na wieżyczkach trzy razy na dobę zmieniali się wartownicy, wrota były zamykane równo z zachodem słońca i otwierały się dopiero o wschodzie, a tabory rzadko szły do Matwiejewki i z powrotem bez ochrony. Nie to żeby obie wsie były w stanie oblężenia, ale ani wioskowi, ani matwiejewscy nie podejmowali żadnych dalekich wypraw: gdzie im do cudzego, byle tylko swoje obronić.

W nocy nikt nawet nie myślał pchać się za ostrokół i dla Wańki straż nie zdjęłaby z wrót okutej żelazem belki służącej jako zasuwa. Znacznie łatwiej było doczekać do pierwszych promieni słońca, podejść do strażników, skłamać, że idzie na grzyby, i co sił w nogach popędzić wąską ścieżynką prowadzącą przez wysoką pachnącą trawę i krzaki, omijając powalone powyręcane drzewa, za wzgórze – do Drogi.

Spostrzeżliby się nie od razu: jeden z wartowników jest dobrym przyjacielem ojca, przekaże mu historijkę Wańki, zaniepokoją się dopiero pod wieczór, jeśli nie wróci przed zamknięciem bramy. A przez cały dzień można daleko odejść. Dookoła, jak okiem sięgnąć, pagórki. Droga ciągnie się po nich jak falująca wstęga i nawet kiedy wejdzie się na sam szczyt grzbietu, można zobaczyć tylko najbliższe wierzchołki, a doliny pozostają skryte przed wzrokiem. Lepszego sposobu ucieczki się nie wymyśli. Gdyby jeszcze spadł deszcz, zmył jego zapach i zbił z tropu psy... Ojciec na pewno pójdzie go szukać, to jednak jedyny syn, choćby i nieukochany.

Aha, trzeba by wziąć ze sobą i parasol: choć Wańka, jak wszystkie urodzone po wojnie dzieci, znosił trujące ulewy lepiej niż dorośli, wciąż było niebezpieczeństwo, że zachoruje. Parasole robili sami – z kozich skór.

Sierści nie golili, wyglądały zabawnie i jakoś tak przytulnie, chociaż po deszczu kosmate parasolki trochę zalatywały. Ochrztili je z jakiegoś powodu „robinsonami”, a Wańka, kiedy był mały – zresztą do tej pory z przyzwyczajenia mylił te dwa słowa – mówił na ten domowej roboty wytwór „paranson”.

Siedząc na kopie siana i spoglądając na okrągły bochen ciemnognatowego nocnego nieba wycięty w ścianie pod samym dachem szopy, Wańka wsłuchiwał się w dalekie wilcze wycie i rozmyślał, czy nie można by jednak zostać. Wychodziło mu, że nijak nie można: tym razem rozżłościł ojca o wiele bardziej niż zwykle, nazajutrz nie uniknie poważnej rozmowy, a może i lania. Do tego po wstydzie, z którym musi przez niego żyć, chyba w ogóle nie zdoła wytrzymać z ojcem pod jednym dachem. No i Wieroczka... Wieroczkę stracił już na zawsze; a widzieć ją codziennie z tą świadomością i wiedząc, że ona wszystko widziała, że była świadkiem jego poniżenia... Lepiej już było się utopić. Albo uciec ze wsi.

Kiedy tylko niebo zaczęło różowieć, Wańka jeszcze raz sprawdził zawartość swojego plecaka i wyskoczył z szopy. Przy wychodzeniu ze wsi, tak jak przewidywał, nie padły żadne pytania: strażnicy, poziewując i przecierając czerwone od kiepskiego, krótkiego snu oczy, zadudnili zasuwą, wypuścili go za ostrokół, sennie wysłuchali historijki o grzybach i klnąc ospale, wleźli z powrotem na wieżyczkę.

Będąc wciąż w polu widzenia wartowników, Wańka szedł niespiesznie, strącając wystruganą wierzbową wtką psie grzybki; starał się stąpać najciszej, jak się da, żeby chrzęstem kroków, trzaskiem gałązek i szelestem trawy nie zagłuszyć okrzyków czy tupotu pogoni. Było jednak bardzo spokojnie, nikt nie zamierzał go łapać. Po półgodzinie, przekonany, że pagórki skryły go już przed wzrokiem strażników, popędził ze wszystkich sił. Zdawało się, że w tym roku nikt ze wsi w ogóle na Drogę nie wychodził: ścieżka ledwie dała się odgadnąć wśród dorastających mu do podbródka zielonych źdźbeł turzycy i puszystych kłosów dzikich zbóż.

Na szczyty wzgórz z trudem wspinało się szkarłatne, słabe jeszcze słońce, dolinę wypełniało cykanie pasikoników, w przydrożnych krzewach, przygotowując swoją partię koncertu, rozśpiewywały się drobne ptaszki i Wańka czuł taką niepojętą lekkość na duszy,



jakby jego idiotyczna ucieczka z domu, z której zamierzał zrezygnować jeszcze parę godzin wcześniej, była najlepszą i najsłuszniejszą decyzją, jaką w życiu podjął.

Kiedy zobaczył w oddali Droę, zaczął iść jeszcze szybciej i pozwolił sobie odsapnąć dopiero przy pochylonym i przerdzewiałym drogowskazie SIEMIONOWKA – 4 KM, MATWIEJEWKA – 10 KM. Zaraz za nim zaczynał się piękny wyasfaltowany zjazd, ale do ich wsi z nawierzchnią nie dotarli: po kilkudziesięciu metrach asfalt zamieniał się w ubity ziemny trakt, a potem w cienką ścieżynkę, która dopełzała prawie niezauważalnie do wioski.

W Siemionowce na placu przed budynkiem sielsowietu (tam też mieściły się budynki klubu i szkoły) pozostało jeszcze trochę popękanego, zbielałego od upływu czasu asfaltu; dla Wańki widok tej nawierzchni nie był więc nowością. Ale Droga mimo to przechodziła jego wszelkie pojęcie: szerokaśna na trzydzieści kroków, zadziwiająco gładka – bez dziur i niemal bez pęknięć – ciemnoszara wstęga, narzucona jak uzda na nastroszone sosnami i świerkami wzgórze, i to tak skutecznie, że te nie mogły jej zrzucić nawet po wielu dekadach. Zachowały się jeszcze na niej oznaczenia – na chropowatej powierzchni wyraźnie odcinały się przerywane linie.

Nie było czasu na rozmyślanie. Wańka rozejrzał się na boki, zaczerpnął haust wilgotnego porannego powietrza i ruszył w lewo.

---

\* Sielsowiet – rada wiejska; organ władzy lokalnej w mniejszych jednostkach administracyjnych w ZSRR i Rosji.

## 2

Nie miał określonego celu i nie mógł go mieć. Idąc donikąd, stawiasz sobie tylko jedno pytanie: kiedy zdołasz nabrać odwagi, by się przyznać, że twoja wyprawa nie ma sensu, i wrócisz do domu? Istniało – co prawda znikome – prawdopodobieństwo, że Wańka spotka ludzi i znajdzie sobie nowy dom, ale w głębi duszy wcale nie tego szukał i im dalej szedł Droga, tym lepiej to rozumiał.

Na początku trzymał się pobocza, a kiedy wychodził na kolejne wzniesienie, przywierał do pni drzew, starając zlać się z nimi i zniknąć; tak badał rozpościerający się między wzgórzami odcinek. Gdy jednak po raz dziesiąty nie zobaczył nikogo na niekończącej się szosie, przestał się kryć i kroczył środkiem, dodając sobie śmiałości zasłyszaną w wiejskim klubie piosenką.

Wańka zatrzymał się na odpoczynek dopiero w południe, w miejscu, gdzie drogę przecinała wąska bystra rzeczka z niemal przezroczystą wodą. Zszedł pod solidny most, zbudowany tak, jakby ktoś liczył na to, że rzeczka może wezbrać i trzykrotnie się podnieść, napił się i wyjął z plecaka prowiant. Przez cały dzień nie spotkał niemal żadnego żywego stworzenia, widział tylko w oddali kłepę z łośiatkiem, ale nie zdecydował się do nich podejść. Zdawało mu się, że odszedł już dość daleko od swojej wsi; w każdym razie liczenie pokonywanych wzgórz znudziło mu się i dał sobie spokój. A Droga wciąż niestrudzenie rozwijała się naprzód i nie trafiały się na niej żadne drogowskazy do najbliższych wsi ani zjazdy na polne drogi – nic. Ale przecież nie mogło być tak, żeby ludzie zbudowali drogę wiodącą w pustkę? Coś koniecznie musiało tam być, na jej drugim końcu... Cel, do którego od samego Chabaru tysiące robotników (to jakby wziąć całą Matwiejewkę i Siemionówkę do kupy i jeszcze dwie takie wsie, i wtedy może zbierze się tylu ludzi), kładły ją dzień i noc, rok za rokiem, odchodząc przez wysługę lat albo umierając z przemęczenia wprost tutaj, w głuszy, setki kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby. Żaden z tych ludzi już z pewnością nie żył...

Gdyby Wańka nie wiedział na pewno, że Drogę budowali ludzie, za nic by w to nie uwierzył. Jednak starsi jednogłośnie przekonywali, że kiedyś wznoszenie wielopiętrowych domów, potężnych mostów nawet nad najszerszymi i najbardziej burzliwymi rzekami, nie mówiąc już o zwykłych asfaltowych szosach, było czymś najzupełniej w świecie zwyczajnym. Że niby to dopiero później, po tym, co się wydarzyło, zabrakło i sprzętu, i paliwa, i ludzi, którzy umieliby kierować potrzebnymi maszynami i kreślić plany takich skomplikowanych konstrukcji. Ostrokół i wieżyczki strażnicze w ich wsi wznosili wszyscy wspólnie cztery lata, więc uporali się całkiem szybko. Jeśli budowali nowe domy, to tylko z drewna; nauczyli się je stawiać bez gwoździ, bo gwoździe były teraz nie do zdobycia, chyba żeby wyciągać stare, ale wszystkie dawno już zardzewiały... Trzy pozostałe z dawnych czasów ceglane budowle – klub, szkoła i budynek sielsowietu – w ciężkich chwilach wykorzystywano jako twierdze. Gdy

zdarzały się napady, kryły się w nich kobiety i dzieci. Tak samo w Matwiejewce, chociaż u nich nie było nawet klubu.

Pod wieczór zupełna, niewyobrażalna pustka na Drodze zaczęła niepokoić i przytłaczać. Widocznie gdzieś nieopodal doszło do większego skażenia: drzewa stopniowo się zmieniały, robiąc się coraz większe, za zwykłymi osikami i sosenkami wzdłuż pobocza widniały teraz rozczapierzone czarne kontury ogromnych zmutowanych dębów i świerków. Rozdwajały się, troiły, przypominając wyciągnięte w rozpacz do góry dłonie umierającego, węzłowate palce pni były jakby powykręcane w niewyobrażalnym bólu ostatniej agonii. Wańka pożałował, że nie doprowadził ojcu dozymetru: jemu na pewno przydałby się teraz bardziej. Ptaki tu nie śpiewały; z gęstwiny dobiegało tylko miarowe pohukiwanie sowy, a kiedy na nieboskłonie zaczęło się pojawiać blade widmo księżyca, z oddali dało się słyszeć mrożące krew w żyłach wycie wilka. Chwała Bogu, nic mu nie odpowiedziało, ale Wańka i tak nie zdecydował się na nocleg na ziemi. Wybrał rozgałęzione drzewo stojące w pobliżu Drogi, po czym wdrapał się na miejsce, gdzie pień szeroko się rozwidłał, i urządził sobie gniazdo. Jakies cztery metry nad ziemią – jak spadniesz, będzie dobrze, skończy się na złamaniach, za to zwykły wilk go nie dosięgnie.

Księżyc nabrał koloru aluminiowej łyżki, na poczerńniętym zmęczonym niebie zaczęły się wyłaniać robaczkowe dziurki gwiazd. Przez ogarniającą go senność Wańka pomyślał, że nocą na niebo po prostu narzucają kapę i jeśli wystrzelić w nią z łuku, strzała przekłuje materiał, przez który zacznie przebijać promyczek światła – i to właśnie jest gwiazda...

Zatrzeszczały, łamiąc się jak szczapki, suche gałęzie martwych leśnych gigantów, tęsknie zaskrzypiały, ulegając naporowi niebywałej siły pnie żywych drzew, uległe zaszeleściły przygniatane do ziemi krzewy...

Taranem przez gęstwinę, ciężko chrypiąc, przedzierało się coś niewiarygodnie ogromnego, coś, o czym Wańka jeszcze nigdy nie miał okazji słyszeć. Dąb, na którym spał, trząsł się od każdego kroku potwora, jakby – podobnie jak Wańkę – przechodziły go dreszcze przerażenia, a liście szeptały między sobą z przestachem. Wańka wczepił się w gałęzie i spróbował nieco się unieść, przylegając do pnia, żeby dojrzeć bestię, albo chociaż ustalić, w jakiej odległości się znajdowała.

Udało mu się dwukrotnie: raz, kiedy stwór wyszedł na niewielką polanę, żeby rozejrzeć się i powęszyć, jakieś pięćdziesiąt kroków od gniazda Wańki. Ogromna ciemna sylwetka słabo odcinała się od tła splotów wynaturzonych osik i świerków i Wańce nie udało się w końcu stwierdzić, czy była to zmutowana odmiana jakiegoś znanego mu zwierzęcia, czy coś w ogóle dotąd niespotykanego. Widać było tylko, że poruszało się na czterech łapach, a w kłębie sięgało co najmniej trzech metrów.

Wiatr dmuchał chłopcu w twarz i tak oto szczęście uśmiechnęło się do niego po raz drugi: potwór powęszył przez minutę, ale ostatecznie go nie wyczuł – wydał z siebie niezadowolony ryk, odwrócił się, a wstając na tylne łapy, ciosem przednich zwałił kilka młodych sosenek i ruszył z powrotem w gęstwinę.

Przez cały ten czas Wańka siedział sparaliżowany strachem, mocno jak rodzoną matkę obejmując grubą gałąź i nie ośmielając się nawet otrzeć potu z czoła. Kiedy trzask i skrzypienie pni w oddali ucichły, ostrożnie, starając się nie wywołać najmniejszego szmeru, położył się z powrotem w swoim gnieździe i cichutko wypuścił powietrze. Coś mu

podpowiadało: mało komu, nawet wśród doświadczonych myśliwych, udało się przeżyć spotkanie z tym stworem.

Mimo stresu zdołał zapaść w sen: potwór widocznie przeraził nie tylko jego, bo przez całą noc w okolicy nie było słycać ani wilczego wycia, ani drażniących pisków nietoperza, ani przenikliwego sówiego łkania.

Kiedy się ocknął, słońce weszło już dość wysoko. Ostrożnie zszedłszy na ziemię, Wańka przyjrzał się i zamarł: ziemia wokół drzewa, na którym spędził noc, była pokryta dziesiątkami śladów... Wilki? Rozejrzał się gorączkowo. Zdawało się, że tajga też wpatruje się w niego, szeleszcząc w zadumie milionami liści, poskrzypując świerkowymi gałęziami, badając, badając...

Tak czy inaczej, trzeba było szybko stąd odejść: nawet jeśli wilki na razie zostawiły go w spokoju, mogły wrócić. Zdrowy rozsądek żądał od Wańki powrotu do wsi. Ale nocne spotkanie podziało na niego w dziwny sposób: odrobinę uniosło zasłonę strachu i lenistwa, skrywającą przed wioskowymi resztę świata – świata leżącego poza granicami Siemionowki i Matwiejewki, świata, do którego prowadziła starożytna Droga. Spotkanie nie tylko go wystraszyło, ale też obudziło w nim zawiadłą chłopcę ciekawość – siłę zdolną oprzeć się pierwotnemu strachowi przed skrywającymi się w ciemnościach nieznanymi potworami.

Nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co robi, Wańka bojowo zmarszczył czoło i ruszył w kierunku przeciwnym do tego, który prowadził do jego domu.

Po kilku godzinach marszu wzgórze się skończyło. Z ostatniego stromeego podejścia rozpostarła się przed nim ogromna dolina, brocząca ciemnymi bagnami, porośnięta dwumetrowym sitowiem i turzycą, parująca odurzającymi zgniłymi wyziewami. Droga biegła wysokim kamienistym nasypem. Pozostając pewnie jedynym kawałkiem twardego gruntu pod stopami, ciągnęła się jak okiem sięgnąć, monotonna szara, równa, z tymi samymi jasnymi, bezsensownie odświętnymi liniami oznaczeń, wciąż biegła naprzód, do jakiegoś odległego punktu, znanego tylko jej bezgranicznie potężnemu twórcy. Dla Wańki pozostawała ostatnim oparciem na tych coraz bardziej niebezpiecznych, wrogich ziemiach.

Nie mógł i nie chciał już myśleć o Wieroczce, o kłótni z ojcem i o tym, jak martwi się teraz matka. Obecnie zajmowała go już tylko sama Droga i miejsce, do którego prowadziła. Wańka zaczął fantazjować, wytężając całą swoją wyobraźnię, wątlą jak warzywa z doniczek, które całe życie stały w izbie i nigdy nie widziały słońca.

Miasto? Może równie duże co Chabar, może jeszcze większe? Starcy mówili, że miast było kiedyś dużo, w nich właśnie żyła większość ludzi. Ale co znaczy dużo? Pięć? Siedem? Wychodziło jakoś za dużo ludu, czegoś takiego na pewno być nie mogło; dziadek Marat w ogóle był znany ze skłonności do wyolbrzymiania.

Sądząc z jakości Drogi – z tego, ile lat przetrwała, znosząc ciężkie próby – u końca setek, a może tysięcy kilometrów asfaltowej wstęgi musiało znajdować się coś niezwykle ważnego. Ukryte skarby? Lekarstwa? Broń? Wańka wyobraził sobie, z jakimi honorami przyjmą go w rodzinnej wsi, jeśli zdarzy mu się odkryć ogromne podziemne składy z automatami i strzelbami... Na całą wieś były u nich dwie strzelby, a i te bez nabożów. Jedna wisiała na ścianie u przewodniczącego sielsowietu, druga należała do Dzika – najsilniejszego i najsprawniejszego z myśliwych. Ten wychodził z nią na wiejskie święta, wywołując pełne szacunku szepty w tłumie bawiących się. Ani jedna, ani druga nie strzelała już od chyba ośmiu lat.

Wańka niby pamiętał, jak brzmiał wystrzał ze strzelby, ale dziecięce wspomnienia są ulotne

i mgliste, mogło być i tak, że mylił go z uderzeniem pioruna...

Prosta jak drzewce ojcowskiej dzidy Droga prowadziła za zaciągnięty białawą mgiełką horyzont. Po zejściu z pagórka Wańka jeszcze przez dobre trzy godziny kroczył po rozgrzanym asfalcie; ostatnie wzgórze rozplynęło się już za jego placami w bagiennych oparach, a przed nim było wciąż to samo: Droga, Droga... Przed nadejściem ciemności trzeba było znaleźć schronienie, inaczej całej jego wyprawie groził rychły i głupi koniec. Im bardziej się oddalał, idąc Droga, im częściej myślał o jej przeznaczeniu, tym smutniejszym zdawało mu się zginąć, nie dowiedziawszy się, co znajduje się na tamtym końcu, i tym większym wstydem był dla niego powrót do domu z pustymi rękami z tak obiecującej ekspedycji.

Sandały własnej roboty obtarły mu nogi i Wańka zdjął je, kiedy tylko słońce przestało padać na asfalt i ten zaczął stygnąć. Woda z niektórych bajerek zdawała się całkiem zdatna do picia; krótki postój, kęs suszonego mięsa, garść sucharów – i znowu w drogę. Purpurowe promienie pograżającego się w trzęsawisku słońca przeplatały się jeszcze z łądogami szuwarów, ale ciemność uparcie gęstniała i razem z nią na bagnach pojawiało się nowe, wieczorne życie.

W oddali coś żałośnie zaskrzeczało, prawie po ludzku; potem o sto kroków od niego plusnął w wodzie jakiś ciężar, wzbijając taką fontannę bryzgów, jakby za poboczem drogi zaczynały się nie płytkie bajory, które da się przejść w dowolnym miejscu, pomagając sobie mocną, długą tyczką, ale bezdenna przepaść wypełniona ciemnymi martwymi wodami, skryta zdradziecko przez niewinne lilie wodne, leniwie unoszące się na powierzchni. Zaufaj im, ulegnij pokusie, żeby poczłapać zmęczonymi stopami po chłodnej wodzie – i grzęzawisko połknie cię, pociągnie w dół, z zadowoleniem bekając bańkami powietrza z twoich płuc – jedynym, co uwolni z powrotem na powierzchnię.

Mimo zmęczenia w żadnym wypadku nie można było kłaść się spać wprost na środku Drogi, na widoku wilków i innych drapieżnych stworów. Skręcić i ukryć się w szuwarach? Licho wie, co mieszka w tych zaroślach: ojciec Wańki nigdy nie oddalał się tak bardzo od wsi, w każdym razie nie doszedł Droga do bagien, polował najczęściej w lasach. Bagna to zakazane miejsce; gdyby nie przecinała ich stara, solidna Droga, Wańka za nic by się tu nie pchał. Pozostawało tylko iść naprzód, licząc na to, że jednak natrafi na jakąś osadę albo chociaż w miarę zaciszny i osłonięty skrawek suchego łądu.

Jak na złość noc była pochmurna. Jeśli poprzedniego dnia księżyc swoim cynowym blaskiem malował zarysy znajdujących się nawet w sporej odległości przedmiotów, to teraz Drogę można było dojrzeć tylko na jakieś dwadzieścia kroków przed siebie; bagna zaś całkowicie zniknęły w ciemnościach.

Zdawało się, że już nie może mu się przydarzyć nic gorszego.

I wtedy daleko z tyłu dał się słyszeć dziwny, nieprzyjemny dźwięk – najpierw nieśmiały, subtelny, nasilał się, aż jego głośność osiągnęła stały poziom, jakby ścigająca Wańkę istota doganiała go, a potem, pozostając w dogodnej odległości, skradała się za nim, nie tracąc go z pola widzenia.

Miarowe, złowieszcze poskrzypywanie. Słyszając je nocą na zbudowanej przez martwych porzuconej Drodze, Wańka od razu pomyślał o widmach, być może duszach budowniczych, którzy zginęli w okolicznych trzęsawiskach... Przypomniała mu się też dziecinna bajka o niedźwiedziu, którego chytry chłop złapał w potrzask, a ten odgryzł sobie łapę i nocami chodził wokół jego samotnej chatki, poskrzypując drewnianą nogą i domagając się, by chłop oddał mu tę prawdziwą, którą powiesił w domu na ścianie... Generalnie wszystko to bzdura,

przekonywał sam siebie Wańka.

Odwrocił się – nic nie widać. Krzyknął, kazał się przedstawić – odpowiedzi brak. Zrobił parę kroków w stronę źródła dźwięku, licząc na to, że je spłoszy – nie, prześladowca się nie cofnął; a więc jest silniejszy. Rzucić się na niego z nożem ojca to głupota: kto wie, co tam jest. Nie atakuje – no i dobrze...

Nie mógł się uspokoić: serce waliło o żebra, w gardle urosła gula. Wańka próbował wziąć się w garść, mówił sobie, że nie wolno mu uciekać: jeśli tym czymś jest zwierzę, wyczuje strach, więc ucieczka może popchnąć je do ataku. A i dla człowieka stanie się jasne, że Wańka jest słaby i będzie łatwym łupem. Czy to wiadomo, na czyj teren zabrnął, w czyją pajęczynę się zaplątał? Nieostrożnymi wędrowcami, którzy dali się skusić, słysząc zew solidnej nawierzchni Drogi, mogły się karmić i dzikusy, i handlarze niewolników, i szamani telepaci – nie wiadomo, może dziadek Marat wtedy wcale nie bujał?

Wystraszony własnymi myślami nie mniej niż tajemniczym dźwiękiem za plecami, Wańka nie wytrzymał i rzucił się do ucieczki, odbijając sobie stopy, tłumiąc diabelne skrzywienie własnym urywanym oddechem i ogłuszającym huczeniem krwi w uszach... Po dwudziestominutowym biegu uznał, że wystarczy, i przeszedł w marsz. Za wcześniej: po kilku minutach z ciemności za jego plecami, najpierw przyspieszone – jakby ono też musiało zdobyć się na pewien wysiłek – a potem już miarowe, jak wcześniej, wypłynęło zimne, bezduszne skrzywienie... drewnianej nogi? Czy raczej wyschniętych stawów kolanowych i biodrowych, z których cmentarne wrony obgryzły całe mięso?

Ocalenie było naprawdę cudowne. Wciąż nie nabrawszy dość odwagi, żeby zatrzymać się i stanąć z prześladowcą twarzą w twarz, zaszczuty Wańka szedł przed siebie jak bezradne, prowadzone na rzeź bydło, gotowy w dowolnej chwili przyjąć w plecy czy w potylicę cios, który położy kres jego głupiemu wyskokowi.

I wtedy rozpościerające się przed nim nieprzeniknione ciemności wypłuły przedmiot, którego nie spodziewał się tutaj zobaczyć, chociaż – jeśli się zastanowić – to tu, na Drodze, pasował bardziej niż gdzie indziej.

Raptem dziesięć metrów od niego szarzał wrak rejsowego autokaru. Wańka rozpoznał go od razu: w ich wsi mieli podobny, przyciągnęli go tam jeszcze na samym początku, razem z innymi samochodami. Koła i osie zdjęli i przełożyli do wozów, a sama karoseria jeszcze długo służyła jako koszary dla wartowników, póki dach nie przerdzewiał i najbardziej obrotni zbieracze nie poroznosili szyb i gumowych uszczelek po domach.

Oto kryjówka! Tylne drzwi, te najbliższe, były na szczęście uchylone. Wańka rzucił ostatnie spojrzenie za siebie, po czym wskoczył na schodek i znalazł się wewnątrz. Spróbował zamknąć się w tym jedynym zesłanym mu przez samą Opatrzność schronieniu i postarać się utrzymać w nim chociaż do świtu...!

W nos uderzył go cierpki odór psiej sierści. Wańka zmartwiał, w ułamku sekundy zdając sobie sprawę, dokąd trafił, a głuche warknięcie kilku wilczych gardeł naraz potwierdziło jego straszne domysły, jeszcze zanim zdążył wpatrzeć się w ciemne wnętrze autokaru. Ostrożnie, krok po kroku, nie obracając się plecami do czających się w ciemności szarych bestii, szedł po schodkach na Drogę – żeby znaleźć się między młotem a kowadłem. Jeśli nie wpadnie w łapy swojego niewidocznego prześladowcy – to tylko po to, by pożarły go wilki. Wyzbył się już nadziei: z jego dziecięcym łukiem i ojcowskim nożem nie zdoła stawić oporu bestiom; nie ma gdzie się schować, ucieczka nie ma sensu. Najpierw jeden, a potem i drugi wilk miękko zeskoczył w ślad za Wańką na przydrożny pył.

W mglistym świetle przysłoniętego przez chmury księżycy wydawały się jeszcze większe niż w rzeczywistości. Ewidentne mutanty, choć nienależące do tego nowego gigantycznego gatunku, o którym słuchy wzbudzały przerażenie we wszystkich znanych wsiach. Miały mocno wygięte ciała, jak naciągnięta cięciwa łuku, gotowe wyprostować się w jednym celnym skoku. Wańka wysunął przed siebie rękę z nożem, zdając sobie sprawę, że niczego już nie zmieni, że zwlekają z atakiem tylko po to, by ocenić, jak dużym jest zagrożeniem...

Grom uderzył niespodziewanie – bez pioruna i nie wiedzieć czemu nie z nieba, lecz zza jego pleców, z Drogi. Jeden z wilków przekoziółkował do tyłu, zaskowyczał po psiemu, upadł na bok, spróbował się podnieść – nie dał rady, zaczął pełznąć z powrotem do autobusu, ale zanim tam dotarł, zaskomlał, drgał przez chwilę i znieruchomiał. Drugi bezszelestnie zniknął w ciemnościach, rozpląnął się, jakby nigdy nie istniał. Wańka zamarł, oszołomiony, chociaż zaczął już się domyślać, co się stało.

Jakieś dwadzieścia kroków od niego pstryknęła zapalniczka, zapalając knot w lampce olejowej. Zwykły człowiek, samotny, z dziwną bronią w rękach – czymś jakby karabinem, ale krótszym i z dużym magazynkiem na środku. U jego stóp nieruchomo siedział wielki, groźnie wyglądający pies, przewyższający chyba rozmiarami zabitego wilka – jak mu się udało zmusić psa, żeby zachowywał się tak cicho mimo bliskości drapieżników? Na asfalcie, poskrzypując kręcącym się kołem, leżała... hulajnoga?

– Roweru nie widziałeś czy jak? Co się tak gapisz? – w głosie pobrzmiwał śmiech, ale dobroduszny, nie złośliwy.

– Widzieli my wasze... lowe... rowery – odparł niepewnie Wańka.

– No podejdz, nie bój się. Puszek nie ugryzie. – Człowiek poklepał po karku psa, który ziewnął nerwowo, wpatrując się w ciemność gdzieś daleko przed sobą.

– No i co tak straszycie? Za wilki – dziękuję...

– Przyglądałem ci się... No i w ogóle... Mało tu rozrywek, sam rozumiesz. Wybacz – facet kaszlnął z zakłopotaniem.

– A co to za rasa? – Wańce to w zupełności wystarczyło, żeby zapomnieć o przeżytym strachu. Wybrzydzać i dąsać się na jedyne go człowieka w promieniu dziesiątek kilometrów, który w dodatku go uratował, było zwyczajnie głupio.

– Wygląda na to, że wilczarz. Cholera go wie...

– Puszek? – dopytał ze zdziwieniem Wańka.

– Kto mógł wiedzieć, że tak wystrzeli – wzruszył ramionami człowiek. – I rośnie dalej, więc pewnie trzeba będzie zmienić mu imię.

Był wysoki, ale mocno przygarbiony i chudy. Kiedy Wańka w końcu zdecydował się podejść bliżej, mężczyzna odrzucił do tyłu kaptur pałatki, który skrywał mu twarz, i wyciągnął do chłopca szeroką kościstą dłoń. Wszystko miał siwe i zadziwiająco dobrze utrzymane, przyszczyżone pod garnek włosy na głowie i krótką brodę, i krzaczaste brwi. Na oko Wańka dałby mu całe pięćdziesiąt lat, ale starzec poruszał się i mówił niezwykle dobrze jak na swój podeszły wiek. Może po prostu od promieniowania tak posiwiał?

– Jak się nazywasz? Iwan, tak? A mi możesz mówić Sierafim Antonowicz. Chodźmy do autobusu. Trzeba gdzieś się zatrzymać na noc.

– Tam było legowisko wilków. A jak drugi wróci?

– Nie wróci – Sierafim zdjął rękę z obroży swojego psa, klepnął go leciutko po plecach i ten, wciąż nie wydając żadnego odgłosu, popędził w stronę bagien. – Jeśli nie będzie ich tam więcej niż trzy, to zadusi je jak szczury. Nie na darmo go wykarmiłem.

Podparł drzwi kosturem, potem rozłożył na podłodze autobusu swoją pałatkę, wyjął z plecaka zawinięty w kawałek foliowej torebki porządny kawał pieczonego mięsa i wbił w niego nóż z nietypowym czernionym ostrzem.

– Wybacz, ale trzeba będzie jeść na zimno. Boję się rozpalać ognisko. Kto wie, co tam czyha na drodze, w tej cholernej ciemnicy nawet z noktowizorem nie widać dalej niż na czterdzieści metrów. Wilki to głupstwo, straszniejsi są ludzie... – Wręczył Wańce jego porcję i nalał mu do nakrętki obtłuczonej połowej manierki pachnący przezroczysty płyn. – Pewnie się umęczyłeś? Pij, pij, nie bój się, ja też się z tobą napiję. No, skąd idziesz i dokąd?

W ślad za Wańką przytknął usta do manierki, chrząknął i skinął głową zapraszającym gestem.

Jak się okazało, nie wiedział o ich wsi, wypytywał szczegółowo, interesował się i Matwiejewką, i obroną przed dzikusami, i tym, jak im się gospodarzy. Przez swoje trzynaście lat Wańka napatrzył się już na różne rzeczy i nigdy nie paplały za dużo w rozmowie z obcym, ale w Sierafimie Antonowiczu było coś szczególnego, coś wzbudzającego sympatię; zdawało się, że Wańka zna go już od dawna, dlatego też mógł mówić z nim otwarcie, jak ze starym znajomym.

– Zmyślasz! – oznajmił z przekonaniem mężczyzna, kiedy Wańka dotarł do swojego dziwnego nocnego spotkania w lesie. – Diabeł z tajgi nie zostawia świadków.

– To mutant, tak? Jakiego zwierzęcia? Słyszeliście coś o nim?

– Słyszeć to wielu słyszało, ale żeby zobaczyć, to nie znam takiego! Niektórzy mówią, że to jakieś dziwaczne niedźwiedzie... Niby że gdzieś tutaj był kiedyś eksperymentalny ośrodek jądrowy, tajny. Na mapach go nie było, drogi, co rozumiały, też nie. Ale ten, co trzeba, wszystko o nim wiedział. Walnęli jak należy, tak że w promieniu stu kilometrów wyginęła cała zwierzyna, łącznie z owadami. Za to pojawiły się te dziwolągi. Ale w ogóle... Pewnie nigdy nie widziałeś mapy naszego byłego kraju? Mam ją tutaj – Wsunął rękę do plecaka i wyciągnął stamtąd papierowy prostokąt. – O, zobacz... To wszystko był nasz kraj. Miasta, tylko tu, tu i o, tutaj. A to wszystko, terytorium wielkości dawnych Stanów, to nietknięte ziemie, w ogóle niczego tu nie było. Niczego, rozumiesz? Nigdy niczego tam nie było. Tylko wzgórze, bagna, strumienie, lasy... Tysiące kilometrów bez dróg, bez jednej wsi... Co najwyżej oblatywali je samolotem raz na rok... Może te diabły z tajgi zawsze tu żyły. Kto tam w ogóle wie, co w niej było, w tej tajdze... A już teraz to...

Wańka po prostu mrugał, nie rozumiał z tej wypowiedzi nawet połowy. Żółtobrazowy arkusz papieru, po którym wodził palcem Sierafim Antonowicz, zupełnie nic dla niego nie znaczył.

– Miasta – to jak Chabar? – podjął znajomy temat.

– Jak Chabarowski, tak... albo jak Władystok... Jak Piter. Jak Moskwa – Sierafim wymieniał nazwy cicho, ale w jego głosie wyraźnie pobrzmiwała olbrzymia gorycz, każda kolejna nazwa – najwidoczniej innych miast – brzmiała jak jeszcze jedno uderzenie dzwonu na pogrzebie. Na pogrzebie świata, którym była dla niego ojczyzna.

– Strzelmy razem jeszcze po jednym. Ostatni raz. Za tych, których nie ma już z nami. Za całe sto czterdzieści milionów – przechylił manierkę, wziął duży łyk, zmrużył oczy i umilkł.

Wańka też milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Przez wyrwane okno w dachu było widać kawałek nieba. Wzmagął się wiatr, ciężkie obłoki pędziły coraz szybciej, na krótkie chwile odsłaniając księżyc. W przerdzewiałych szczelinach cichutko zawodził przeciąg, na podłogę autokaru padały małe krople przelotnego deszczu. Póki słabo mżyło, nie było zagrożenia, ale



Wańka i tak wszedł na resztki fotela, wysunął przez otwór w dachu swój parasol i otworzył go. Tak będzie pewniej. Nie wiadomo jeszcze, czy jutro będzie można kontynuować marsz. No i dokąd iść?

– Dokąd idziecie? – spytał staruszka.

– Do Moskwy... Mam sprawę.

– A co to? Też miasto, jak Chabar?

– Nie daj Bóg, żeby Moskwa była jak Chabarowsk... Widziałem go z daleka. Miasto widmo. Użyli tam broni biologicznej. Chcieli zachować infrastrukturę, sukinsyny. Do tej pory dziesięć kilometrów przed miastem zaczyna się strefa zamknięta. Przebija się przez skafandry ochronne, tak się postarali... Spędziłem tam tydzień, cały czas nie mogłem uwierzyć własnym oczom: jedyne nietknięte przez wojnę miasto, zupełnie jak kiedyś. Właziłem na wzgórze, akurat na jedenastym kilometrze od ostatniego osiedla, i patrzyłem, patrzyłem godzinami. Dawno nie widziałem miast, stęskniłem się. Z takiego Władywostoku zupełnie nic nie zostało, w trzy minuty fala zmyła wszystko do czysta.

Na zewnątrz rozległ się cichy zgrzyt: coś drapało w karoserię autobusu. Sierafim Antonowicz wstał, wyjrzał przez zakurzone okno i otworzył drzwi. Jego wilczarz najpierw stanął na schodkach przednimi łapami, wsunął do środka swój ogromny szary łeb, powęszył i warknął z niezadowoleniem, ale potem jednak wskoczył do środka, polizał dłoń pana i ułożył się u jego stóp. Z początku spode łba, z dołu do góry, spoglądał nieufnie na Wańkę, potem oczy zaczęły mu się zamykać i zasnął. W ślad za nim zapadł w sen i sam Wańka. Starzec powoli pokiwał głową, patrząc na śpiącego chłopca, pogłaskał swojego psa i zgasił lampę.

Wańce śniła się rzeka w Matwiejewce i lina, z której dzieciaki skakały do przejrzystej i zielonkawej jak szkło butelek wody. W ślad za pozostałymi wdrapał się na drzewo, złapał się liny, ale wysokość okazała się nieoczekiwanie duża, dość szeroka rzeka zamieniła się w cieniutki strumyczek gdzieś daleko w dole i Wańka, który odepchnął się już nogami od konaru, wciąż nie mógł się zdecydować, czy puścić linę i rzucić się w dół.

Potem ręka sama zsunęła się, ześlizgnęła, zaparło mu dech i wzbijając bryzgi, runął do wody.

Leżał wprost pod oknem w dachu. Wiatr zerwał parasol i przez otwór na twarz leniwie kapał mu deszcz. Świtało. Wańka stanął na oparciu fotela, podciągnął się na rękach i wyszedł na dach – rozejrzeć się z góry w poszukiwaniu parasola. Ale natychmiast o nim zapomniał i znieruchomiał na dachu, przykuty przez rozpościerający się przed nim straszny i fascynujący widok; nie wierząc własnym oczom, spoglądał przed siebie.

Nocna mgła stopniowo się rozpraszała, za plecami Wańki niespiesznie wynurzało się słońce, nieboskłon zabarwiał się na jasnoszary kolor. I ta część Drogi, która rozpościerała się przed nimi, którą mieli dziś podążyć, stawała się coraz lepiej widoczna.

W odległości pięćdziesięciu metrów od autokaru na Drodze stał jeszcze jeden, praktycznie taki sam. Przed nim – jeszcze jeden, i jeszcze, dziesięć, dwadzieścia, dwieście... Było ich więcej, niż Wańka umiał zliczyć – zardzewiałe samochody osobowe, ciężarówki, autobusy wszelkich rozmiarów zajmowały wszystkie pasy Drogi, tłoczyły się na poboczu i ta niekończąca się kolumna niknęła w porannej mgiełce; ale Wańka już się domyślał, że kiedy całkiem się rozwidni i mgła się rozproszy, kolumna będzie ciągnąć się jeszcze dalej – być może po sam horyzont... aż do punktu, w którym coś ją zatrzymało. Zatrzymało na zawsze.

Autobus, w którym spędzili noc, był ostatnim pojazdem tej imponującej armady

samochodów, dziesięciolecia temu podążających Drogą na zachód.

Setki, tysiące pustych aut – dużych, o ładnych opływowych sylwetkach, na pewno niesamowicie drogich, przemieszanych z biednymi, kanciastymi, blaszanymi mydelniczkami na kołach... Drzwi jednych były szeroko otwarte, w innych przezornie zamknęli je kierowcy, którzy pewnie mieli jeszcze nadzieję usiąść za kółkiem, uruchomić silnik i ruszyć dalej, a może wrócić do swoich domów, kiedy to wszystko się skończy.

Gdzie się podzieli? Postanowili iść dalej piechotą, żeby uciec, jak tylko najdalej się da, przed ścigającym ich nieznanym niebezpieczeństwem, popędzającym, niedającym się zatrzymać nawet na chwilę? Zniknęli... A rdzewiejące szkielety ich samochodów zostały niczym nagrobek, jedyna pamiątka po właścicielach – na sto, trzysta lat, póki kwaśne deszcze nie przeżrą ostatecznie również i tego, razem ze wspomnieniem o losie ludzi, do których należały.

– To jest właśnie ewakuacja – z dołu dał się słyszeć głos Sierafima Antonowicza. – Jechali w głąb, jak najdalej od granic. Pewnie do Czyty... Nie dojechali.

Wańka zwiesił się z dachu. Starzec stał z dymiącym skrzętem w dłoni, obok niego siedział pies. Przy drzwiach autobusu leżał jeszcze jeden martwy wilk – z przegryzionym gardłem.

– Wielu naszych też pewnie miało wśród nich swoich bliskich – zaciągnął się głęboko, wypuszczając z ust kłęby siwego dymu. – Bliżej czoła kolumny. Rodziny wojskowych ostrzegano zawczasu. Co tam się stało? Czyżby specjalnie uderzyli w cywili?

Wszedł do środka, otrzepał i zwinął pelerynę, spakował plecak, narzucił na ramię swoją nietypową broń i spoglądając na chłopca z dołu, przez okno w dachu, powiedział:

– Dobra, Iwan, ja chyba pojedę. Ty lepiej wracaj do domu. Tam, na zachodzie, nie ma dla ciebie nic do roboty.

– Weźcie mnie ze sobą, co? – niespodziewanie dla samego siebie poprosił Wańka. – Ja do wsi nie wrócę. A nawet jakbym chciał, to samego wilki mnie zjedzą i tyle. Lepiej już pójdę z wami dalej. Mogę polować...

– No to jak chcesz – z łatwością zgodził się starzec. – We dwójkę oczywiście pojedziemy wolniej, ale przynajmniej będzie weselej. Bo przez miesiąc od Władywostoku zaczęło mi się trochę nudzić... Posadzę cię na bagażnik. Zbieraj manatki.

### 3

Po chwili balansowania potrzebnej, by złapać równowagę z nowym obciążeniem, Sierafim Antonowicz nacisnął na pedały i rower, skrzypiąc ze skargą, ruszył z miejsca.

Jechali poboczem, lawirując między porzuconymi samochodami godzinę, drugą, trzecią; wilczarz truchtał obok roweru, ze zwieszonymi, przyciętymi w trójkąt uszami. Znów zaczął się śnieg i Wańka otworzył odnaleziony parasol.

Autobusy, ciężarówki, samochody osobowe – wszystkie były puste. Niektóre rozgrabiono, ale większości nikt nie tknął. Przez ocalałe brudne szyby było widać pozostawione w pośpiechu rzeczy – dziecięce zabawki, książki, torby. I od tego wszystkiego Wańkę nagle ogarnął taki niewysłowiony smutek, jakby w tej karawanie śmierci jego bliscy też odjechali donikąd.

– To przecież nie jest zwykła droga – opowiadał półgłosem Sierafim Antonowicz. – W swoim czasie była budową stulecia... Budowali ją niemal pół wieku: biorą się do roboty, potem kończą się środki i porzucają. Zasadniczo, kiedy ropa była droga, to budowali, potem jakoś przyhamowywali... Zapominali, a kiedy pamięć wracała, szczylicili się nią. Sześć pasów, wiodące technologie, trasa w przyszłość, nowa Kolej Bajkalsko-Amurska, czego to oni nie mówili. Cóż to był za projekt: sześciopasmowa szosa przez cały kraj! Prezydent osobiście przyjechał ją otworzyć, z fanfarami...

– A dokąd ona prowadzi?

– Do Czyty, potem do Ułan-Ude, do Irkucka, potem do Nowosybirsk, potem na Ural, do Jekaterynburga, i dalej do Moskwy. Przez całą Rosję do stolicy. I ja też postanowiłem tam pojechać na stare lata. W domu nic już mnie nie trzyma, wybrałem się, żeby w końcu zobaczyć ojczyznę – Staruszek obejrzał się na Wańkę i krzywo się uśmiechnął.

– Z daleka jedziecie?

– Nasi mieszkają o sto pięćdziesiąt kilometrów od Władywostoku. Kiedy wynurzyliśmy się na dobre, było już kilka miesięcy po wojnie... Urządziliśmy się w najbliższej opustoszałej osadzie rybackiej i od tej pory tam stacjonujemy.

– Jak to wynurzyliście się? – ostatecznie pogubił się Wańka.

– I tak nie zrozumiesz... A jak zrozumiesz, to nie uwierzysz. Chodzi o to, że kiedy zaczęła się wojna, służyłem na okręcie podwodnym. Dopiero co objęliśmy dyżur bojowy. A okrętów atomowych w ogóle nie da się wykryć, jeśli same się nie pokażą. Można zalec na dnie i z siedem miesięcy leżeć cicho, żywności starczy, instalacje pozyskują wodę pitną i powietrze bezpośrednio z morza. Okręt podwodny to całe miasto, większe od tej waszej Siemionowki. A na pokładzie są rakiety z głowicami nuklearnymi; jeden okręt wystarczy, żeby zetrzeć z mapy ćwierć Chin, jeśli dobrze wycelować. Załoga to ponad setka ludzi, wszyscy nawzajem dobrani, nie z każdym można przecież bujać się pół roku w stalowej trumnie w głębinach

oceanu. Drużyna...

– To braliście udział w wojnie? – Wańka nie wierzył własnym uszom: z weteranów nie przeżył nikt ani w Siemionowce, ani w Matwiejewce, dlatego historie o wojnie wymyślali ludzie, którzy nie mieli z nią nic wspólnego.

– Wyszło dziwnie. Niby brałem, a jakby nie. Krótko mówiąc, kiedy dostaliśmy rozkaz, znajdowaliśmy się na Oceanie Indyjskim... jakby ci to wyjaśnić... daleko od celu. Od razu wzięliśmy kurs na złote brzegi – uśmiechnął się krzywo – żeby wypakować w nich cały nasz arsenał. A w miarę jak płynęliśmy, ze świata zostawało coraz mniej. Czegoś takiego oczywiście nie braliśmy pod uwagę. Myśleliśmy, że konflikt będzie się rozwijał jak w książkach, stopniowo, że wszystkie jednostki zdążą zająć pozycje... Nikt nie spodziewał się takiej błyskawicznej eskalacji. Już czwartego dnia urwała się łączność z Moskwą, piątego z Władywostokiem. Rozkaz to rozkaz. Dotarliśmy, rzecz jasna, do Zachodniego Wybrzeża i sumiennie wytlukiliśmy je jeszcze raz, tyle że już wtedy wszystko leżało tam w gruzach. I straż przybrzeżna, i obrona przeciwrakietowa... Nikt do nas nawet nie strzelał. Wypuściliśmy rakiety, zanurzyliśmy się i popłynęliśmy z powrotem. Sytuacja stawała się jasna: nie ma ani Chin, ani Indii, ani Japonii, ani Australii.

– Nic nie zostało. Co dopiero mówić o Rosji, czy o Stanach... Szczególnie mocno oberwały oczywiście gęsto zaludnione kraje, chociaż w Europę z początku walili głównie bronią neutronową, biologiczną, chemiczną. Myśleli: po co burzyć, skoro będzie można zagarnąć, przyłączyć – póki nie stało się wreszcie jasne, że wojna zamienia się w zbiorowe samobójstwo, że wszystko i tak osuwa się w przepaść... Na pewnym etapie nie liczyli się już z niczym. Walili w miasta, trasy, którymi ludzie próbowali się ratować, uciekać przed bombardowaniami... Takie jak ta, po której jedziemy.

– A dlaczego was nie znaleźli? Nie umieli szukać pod wodą?

– Mówię przecież: spróbuj znaleźć okręt z wyłączonymi silnikami... Zresztą zanim wyszliśmy na pozycję, wojna właściwie już się skończyła. Na wszelki wypadek przyczailiśmy się na dnie, zaczekaliśmy jeszcze dwa tygodnie. W końcu nie było instrukcji na wypadek, gdyby ludzkość sama całkowicie się unicestwiła. Nie było nawet komu się poddać. Nasz radiotelegrafista przez te dwa tygodnie bez przerwy przeczesywał eter, prawie nie spał, a tu wszystkie wielkie miasta milczą. Moskwa milczy, Piter milczy. Władywostoku w ogóle już wtedy nie było. Odpowiadały jeszcze jakieś odległe garnizony, ale potem łączność urwała się i z nimi. Większość okrętów podwodnych też zginęła. Te, które dyżurowały u wybrzeża Stanów, albo w Zatoce, albo w pobliżu Chin, wypłynęły, ujawniły się, wystrzelały i koniec. Ale wiedzieli, na co się piszą.

– Tak jak nam, poszczęściło się dwóm, trzem załogom. Raz, kiedy już ostatecznie zrozumieliśmy, że wojna się skończyła, połączyliśmy się z jeszcze jednym naszym okrętem, którego portem macierzystym był Archangielsk. Ci płynęli na jakieś wyspy... Na Seszele, czy tam Malediwy... Coś takiego turystycznego, rajskiego. Mówią, że teraz już wszystko jedno, gdzie się płynie, tu czy tam, i tak nie ma dokąd wracać. My też myśleliśmy, czy nie przenieść się na jakieś dalekie niezamieszkałe wyspy na Oceanie Spokojnym, jeśli cokolwiek w ogóle ocalało. Chociaż na co komu jakiś indonezyjski archipelag... Ale wielu naszych oficerów było z Władywostoku, marynarze też najczęściej z miasteczek na dalekim wschodzie, jakoś tak wyszło. No więc postanowiliśmy jeszcze poczekać, a potem jednak wrócić do domu.

– A z wrogów ktoś został? Amerykanie? – Wańka palnął, co pierwsze przyszło mu do głowy.

– Co tam się odstawia u nich na kontynencie, nie mam pojęcia. Mieli przecież jakieś schrony, ktoś musiał przeżyć, przynajmniej na początku. Ale co do stałego lądu, to trzeba by było spytać kogoś z wojsk raketowych albo sztabu generalnego, jeśli w ogóle ktoś pozostał przy życiu. Co się zaś tyczy morza, mogę opowiedzieć. Była taka historia, jakieś trzy miesiące po końcu świata. Przeplądaliśmy niedaleko dawnej Japonii... Przecież cała znalazła się pod wodą, wyspy Hokkaido i Honsiu... Zdaje się, że Chińczycy odpalili ładunek termojądrowy kilometr pod powierzchnią. Dobre posunięcie – tracąc zaledwie jeden okręt podwodny, urządzili Japoncom Atlantyde. Niech teraz przyszłe cywilizacje szukają ich według naszych map... To właśnie po tym fala zalała Władywostok. Tak to. Akurat przeplądaliśmy nad Tokio... Namierzaliśmy coś dużego. System trochę nawalał, powinniśmy byli go wyregulować jeszcze przed wyjściem w morze; przez pierwsze trzy miesiące działał normalnie, a potem coraz gorzej. Tak więc nie od początku zdawaliśmy sobie sprawę, z czym mamy do czynienia. A kiedy podeszliśmy bliżej, było już za późno. Byłem wtedy na mostku, wszystko widziałem na własne oczy.

– Nigdy nie zapomnę tego dnia... W dole zatopione megalopolis, w większości zburzone, ale stoją i całe domy, nawet drapacze chmur. W Japonii bywały przecież często trzęsienia ziemi, tak więc budowali z takim zapasem wytrzymałości, że przetrwały nawet apokalipsę. I oto widzimy na sonarze duży obiekt, tak jakby tuż obok nas, a na monitorach niczego nie ma, woda jest mętna i dookoła tylko kontury tych wieżowców. Pewnie mieli tam dzielnicę biznesową, zanim zrobiło się całkiem źle. Tak też uznaliśmy – że po prostu namierzaliśmy przewrócony budynek... I wtedy jak mi kapitan nie wbije łokcia w splot słoneczny, a sam łapie słuchawkę... Zza takiego szerokiego budynku powoli wychyla się gigantyczne czarne cygare... Reflektory na dziobie i kiosku zapalone... A kiosk ma taki skrzydlaty, charakterystyczny: amerykański trident w pełnej krasie. Zrobiłem się mokry od potu. Oni widzą nas, a my ich. Ale jesteśmy względem siebie pod takim kątem, że nie da się od razu wypuścić torpedy, trzeba się obrócić. Kapitan trzyma już słuchawkę przy uchu, szykuje się, żeby wydać rozkaz, ale widzi, że Amerykanie zwlekają. Może po prostu wystrzelili cały zapas pocisków, ale myślę, że w tamtym momencie i w nich, i w nas coś pękło, coś zrozumieliśmy. Że jeśli nawet jesteśmy śmiertelnymi wrogami, jeśli nawet z tego właśnie okrętu wystrzelono rakiety, które potem spadały na Piter, na Rostów, może nawet na Moskwę, jeśli nawet obróciliśmy w popiół Kalifornię, to wszystko to już za nami. Wojna się skończyła. Wszyscy po prostu wykonywaliśmy rozkazy i właśnie dlatego naszego świata już nie ma. Właśnie dlatego ani oni, ani my nie mamy dokąd wracać i trzy miesiące po zakończeniu działań wciąż jeszcze bez celu, jak psy, które straciły panów, krążymy po oceanie. Nikt nami teraz nie dowodzi, czyli wcale nie mamy obowiązku rzucać się sobie do gardeł w ostatnim starciu. Ani im, ani nam nie było potrzebne to małe bezsensowne zwycięstwo w przegranej przez wszystkich wojnie. Radio milczało: wszystko było jasne bez słów. Na naszym mostku też panowała taka cisza, że pewnie dałoby się usłyszeć śpiew wieloryba z odległości tysiąca kilometrów. Pięć, dziesięć, piętnaście minut ten trident wisiał przed nami w mętnej wodzie w centrum Tokio, a z dołu wyjedzonymi przez ryby oczodołami spoglądało na nas z wyczekiwaniem dwadzieścia milionów martwych Japończyków. Po dwudziestu minutach amerykański okręt dał nam sygnał reflektorami i powoli odpłynął. Można pomyśleć, że zasalutował...

Sierafim Antonowicz umilkł, ale Wańka nie zdecydował się wyskakiwać z pytaniami, czując, że tamten chce powiedzieć coś jeszcze.

– Czasem wyobrażam sobie, że ten trident odpłynął na Seszele albo Malediwy, czy gdzie

tam wyprawili się tamci z Archangielska... Może przyplłynął tam też ostatni chiński okręt podwodny, dowodzony przez kogoś, kto też to rozumiał. I że tam, na tych Seszelach, wszyscy oni mogą spokojnie się wynurzyć i zejść na brzeg, i zatrzasnąć na zawsze włązy swoich okrętów atomowych. Dlatego że wojna naprawdę się skończyła i ci bezlitośni zdyscyplinowani zabójcy, wypełniający swój obowiązek żołnierze, już nie muszą nieść zniszczenia i śmierci. Zasłużyli na odpoczynek. Mogą zapomnieć i wybaczyć sobie nawzajem, i uda im się żyć razem w tym maleńkim tropikalnym rajku, spać na bielutkich piaszczystych plażach i kochać wyspiarki o brązowej skórze, choćby nigdy nie zastąpiły im zabranych przez piekło żon...

Twarde ołowiane niebo ocieźtale broczyło chłodnym deszczem, bębniącym w zadumie po skórzanym parasolu, melancholijnie skrzypiały koła roweru i wciąż nie było widać końca kolumny porzuconych samochodów.

– Ale przecież nie idziecie do Moskwy ot tak? – spytał Wańka, odrywając nóżkę upieczonego na ognisku ptaka, którego sam upolował z łuku.

– Myślałem o tym przez całe ostatnie dwadzieścia lat. Mieszkałem w tej naszej osadzie i marzyłem, żeby kiedyś rzucić to wszystko i wyruszyć do Moskwy. Żona nie puszczała. Druga żona, z którą zszedłem się już po wojnie, po tym, jak zobaczyłem Władystok. Kiedy umarła, nic więcej mnie w naszej osadzie nie trzymało. Nie mieliśmy dzieci, pewnie przez promieniowanie, czy to u mnie, czy u niej coś się popsło. A po co idę do Moskwy? Można to wyjaśnić tak... Gdybym miał to ująć w dwóch słowach, to nie wierzę, nie mogę i nie chcę wierzyć, że z naszego kraju nie zostało już zupełnie nic, oprócz dwudziestu, trzydziestu rozrzuconych wzdłuż tej trasy dziczejących wsi. Sam muszę się przekonać, że niczego więcej nie ma, że nie ma Irkucka, Nowosybirsk, ani miast na Uralu... Ale przede wszystkim, że to niemożliwe, żeby cała Moskwa uległa zagładzie. Przecież były tam i schrony przeciwatomowe, i obrona przeciwrakietowa, i bunkry rządowe, i magazyny żywności na dziesiątki lat, i zabezpieczone ośrodki obrony cywilnej do walki ze skutkami skażenia promieniotwórczego... Przecież szykowaliśmy się na taką wojnę od lat pięćdziesiątych zeszłego wieku! To niemożliwe, niewiarygodne, żeby wzięli nas zniemacka, żeby wszystko unicestwili!

– A my tu jesteśmy, nigdzie się nie podziałiliśmy – zaprotestował dumnie Wańka. – Wy jeszcze naszej Siemionowki nie widzieliście! Wiecie, jaki mamy wysoki ostrokół? A latem to czasami zbieramy plony dwa razy, jedzenia mamy do syta, na całą zimę starcza!

– Widziałeś już dzikusów? – spytał ni z tego, ni z owego Sierafim Antonowicz.

– No widziałem...

– Jak zwierzęta ich zabijacie... A to przecież nie zwierzęta. To tacy sami ludzie jak ty i ja. Tylko jednego im brakuje. Cywilizacji. Nie mają języka, rozumiesz? Kultury. Pamięci. Doświadczenia poprzednich pokoleń. I w osadach, tyle ich widziałem po drodze, ludzie zapominają... Wszystko. Gdzieś tam jeszcze słuchają staruszków, ale tym też się miesza, a niektórzy ni cholery się nie znają. W każdej wsi wierzą w swojego boga, o wojnie i w ogóle o tym, co się stało, nikt dobrze nie wie. Zaczynasz im opowiadać, to mówią: a po co nam stare dzieje! Nigdzie nie ma prądu, ale co tam prąd! Nie umieją wyrabiać narzędzi z żelaza. Dlaczego tak jest? Zapominasz przez sto lat, od nowa uczysz się milion. Czytać potrafią tylko w trzech wsiach, liczyć do stu – w pięciu. Nikomu niczego nie trzeba. Zapomną, wszystko zapomną. Jeszcze dwa pokolenia i wrócimy do wczesnego średniowiecza. A stamtąd do epoki kamienia już niedaleko. A Moskwa... W Moskwie cała nadzieja. Gdzie ma być cywilizacja,

jak nie tam? A ja, zanim odejdę w ślad za żoną, chcę zrozumieć: odrodzimy się, czy nie? Myślę, że w Moskwie na pewno ocaleli ludzie. Uczeni, wojskowi, artyści, inżynierowie, profesorowie, ostatecznie rządzący. Nie wyobrażasz sobie, co to za miasto, Moskwa! Byłem tam raptem trzy razy, najpierw pojechałem na wycieczkę ze szkołą, potem przejeżdżałem przez nią w wojsku, jeszcze jako poborowy, i potem z pierwszą żoną, na miesiąc miodowy. Ogromna, rozświetlona, bogata... Sam plac Czerwony ile jest wart, albo stalinowskie wieżowce, albo Moskwa-City! A ile tam ludzi! I żeby wszystko to zniknęło? Nie mogę w coś takiego uwierzyć...

– Tam u nich to pewnie warzywa rosną cały rok? – Wańka spróbował sobie wyobrazić taką wspaniałość.

– A co tam warzywa! – machnął na niego ręką staruszek. – Tam jest zgromadzona cała nasza wiedza, muszą tam żyć ludzie, którzy mogą przekazać ją dalej, żebyśmy nie zdziczeli, nie zamienili się w neandertalczyków. Musiał zostać jakiś rząd! Nasi mi mówili: gdyby byli ministrowie, prezydent, to dotarłby ktoś i na daleki wschód, żeby przywrócić władzę Moskwy. Ale ja myślę, że nikt stamtąd nie przyjedzie. Jaki to ma sens? Za Uralem już kiedyś niczego szczególnego nie było, a teraz to już w ogóle. Pustka... Tajga... Bagna.

W końcu nawet nie tknął ptaka, którego podał mu z dumą Wańka, i ten obserwował teraz z niepokojem, jak rzadnie pachnąca para unosząca się ze stygnącej apetycznej mięsistej nóżki.

– Jeśli naszemu krajowi sążone jest się odrodzić, wszystko przyjdzie z Moskwy. I jeśli rząd jeszcze działa, trzeba go koniecznie poinformować, co się dzieje na dalekim wschodzie! – Ktoś jakby rozpałił dwa węgle w oczach starca; Wańka zaczynał rozumieć, skąd brała się w nim tak niepasująca do jego wieku siła i wola.

Siedzieli w skrzyni wojskowej ciężarówce, skryci przed zacinającym deszczem pod podartą brezentową płachtą naciągniętą na żelazne pręty; przednie koła były skręcone w bok – kierowca chciał pewnie wyjechać z korka, w którym utknął, póki nie zdał sobie sprawy, że z tyłu napierają już na niego dziesiątki samochodów i drogi powrotnej nie ma. Z daleka pokryty łuszczącą się ciemno-zieloną farbą ural przypominał cielsko zdechłego z głodu potwora z zapadniętym brzuchem i wyraźnie widocznymi żebrami.

Nad bagnami zalegała mleczna mgła. Wraz z zachodzącym słońcem uchodziło ciepło, przez dziury w brezencie ciągnął wilgotny wiatr. Daleko na północy, z serca trzęsawiska, dobiegł wzmocniony przez mokre echo jakiś gromki ryk, od którego naraz umilkły tysiące rozochoconych nie na żarty żab; Wańkę przeszył dreszcz, starzec słuchał niespokojnie i wyjrzał na zewnątrz. Wilczarz leżał na podłodze ze stulonymi uszami i cichutko skomlał.

– Dziś dalej nie pójdziemy – postanowił Sierafim Antonowicz, wciągając do środka swój rower. – Jakoś mi się to nie podoba. Puszek dziwnie się zachowuje. Lepiej nie kusić losu...

Zapalił knot w swojej lampce i powiesił ją na drucie na jednym z żelaznych żeber paki. Deszcz miał jedną zdecydowaną zaletę: przygniótł do ziemi wszystkie muszki i można było użyć latarni, bez obawy, że przyciągnie chmary owadów.

Stary skręcił sobie papierosa, zakopcił i zamyślił się nad jakimiś swoimi sprawami, ale Wańce siedzieć w milczeniu w gęstniejącym mroku było nieznośnie ciężko.

– A dokąd w końcu popłynął wasz okręt? – spytał.

– Do Władywostoku, portu macierzystego. Tam nie było już oczywiście ani portu, ani miasta. Ocean zlizął wszystko jak zamki z piasku. Promieniowanie miało taki poziom, że strach było zostać na powierzchni dłużej niż pół godziny. Zanurzyliśmy się znowu, popłynęliśmy dalej, sto pięćdziesiąt kilometrów. Była tam taka dobra zatoczka, czysta, a w niej

osada rybacka. Nie wiem, co się stało z mieszkańcami, ale wszystko porzucili i zniknęli. Z początku baliśmy się, że na całym wybrzeżu użyli jakiejś broni biologicznej, bo zupełnie nie było tam ludzi. Ale nie, nic z tych rzeczy, minął tydzień i nikt nie zachorował. Dopiero potem się wyjaśniło, że wielu uciekło w głąb kontynentu, bali się nieprzyjacielskiego desantu. Zacumowaliśmy okręt, doprowadziliśmy wieś do porządku. Oczywiście dozymetry terkotały i tam, ale jednak nie tak jak we Władiku. Nie będziemy przecież wiecznie siedzieć na dnie... Mieliśmy dużo szczęścia, że wojna zastała nas na samym początku dyżuru bojowego. Paliwa było na ponad pół roku, a my nie przepłynęliśmy nawet czterech miesięcy. Przeciągnęliśmy kable z okrętu na brzeg, doprowadziliśmy elektryczność. Do dzisiaj prawie we wszystkich domach jest światło i kuchenki elektryczne, różne tam suszarki... Zbieraliśmy je po całym wybrzeżu. Tak samo zresztą jak baby... To niebezpieczne, jasna sprawa, w końcu reaktor jest bez nadzoru technicznego, tylko nasi inżynierowie pokładowi go pilnują... Teraz uczą swoje dzieci. Mamy tam osadę nad osadami! Prawdziwa cytadela, gdzie tam do nas waszej Siemionowce! Ja też miałem okazję się naogładać różnych rzeczy, bądź spokojny. Z początku było całkiem, całkiem, wszystkie zwierzęta przycichły, za to po jakichś pięciu, sześciu latach, zaczęły się dziać takie rzeczy! A szczególnie w morzu. Na przykład pewnego razu...

Pies postawił uszy na sztorc, potem poderwał się na nogi i głucho zawarczał. Starzec pospiesznie zdmuchnął płomień lampy i wyjął z plecaka podobne do lornetki urządzenie, które, jak domyślił się ze zdumieniem Wańka, pozwalało mu widzieć w ciemności. Potem sprawdził swoją broń, przydeptał skręta i gestem nakazał chłopcu się położyć.

– Dzikusy – szepnął. – Z Birobidżanu, czy co? Pewnie nas śledzili. Szykowali się do polowania. Po jakie lichy im się wystawiliśmy?

Chociaż wioskowym udało się odnieść zwycięstwo nad dzikusami, zarówno w Siemionowce, jak i w Matwiejewce, wszyscy zdawali sobie sprawę, że mieli po prostu szczęście. Gdyby nie zaskoczyli ludożerców, wybijając prawie wszystkich we śnie, wynik starcia byłby niepewny. Chociaż dzikusów było mniej, walczyli zaciekle, posiadali nieludzką siłę i wyczuwali las znacznie lepiej od miejscowych myśliwych. Wańka wcale nie był taki pewien, czy dzicy to zwykli ludzie, jak przekonywał Sierafim Antonowicz; jaki człowiek może w trzy sekundy niemal wyfrunąć na czubek stuletniego dębu albo zabić doświadczonego wojownika, rzucając w niego odłamaną gałęzią?

Bali się ich we wsi jak leśnych duchów, jak złych demonów, aż się trzęśli ze strachu, dlatego rozprawili się tak okrutnie i z nimi, z ich samicami, i z młodymi, żeby pozbyć się ich raz na zawsze, jak nocnego koszmaru.

I oto są tutaj, mniej niż tydzień drogi od wsi. Czyżby Droga to były ich ziemie? Może dlatego przepadali wszyscy podróżnicy idący w lewo, na zachód?

– Piętnastu... Osiemnastru... Dwudziestu trzech – szeptem liczył starzec. – No, chłopcze, jeśli ocalejemy, to będzie po prostu cud boski. W moim kałachu są trzy magazynki, ale nocą więcej niż połowę wywalę w mgłę. To nie to, co strzelać do nieznanających człowieka wilków, jak na strzelnicy. Ci są sprytni... Już się rozchodzą, okrążają nas.

Jedną z uciętych głów u wrót wsi znalazł Wańka ze swoim kolegą, tak wyszło. Wstali wcześniej, wybierali się nad rzeczkę, na ryby, mimo że rodzice zabronili im chodzić do Matwiejewki bez dorosłych. Ledwie dobudzili śpiących strażników na wieżycy, niecierpliwie prześlizgnęli się przez szczelinę w otwierających się skrzydłach bramy i od razu, drżąc i oblewając się zimnym potem, skryli się z powrotem.



Chuda niesforna koza Tamary Siergiejewnej mleka nie dawała prawie wcale, za to przyprawiała właścicielkę o ból głowy – ciągle zrywała się z uwięzi i uciekała. Ale dobra staruszka, sama z trudem wiążąca koniec z końcem, nigdy nie żałowała pysznego tłustego koziego mleka, by choć trochę rozpieszczyć wiejskie dzieci. Często wpadał do niej wieczorem i Wańka, kiedy był młodszy – wypijał pół szklanki i dawał się poczochnąć po płowowłosej główce. To dlatego mimo strasznych okaleczeń jej głowy Wańka od razu ją poznał. Dzień wcześniej koza znów uciekła i staruszka do nocy błąkała się po okolicy, szukając swojej jedynej własności...

Krótko świsnęła dzida i odłupując drzazgi, utkwiała w tylnej burcie ciężarówki. Sierafim Antonowicz wysyczał niezrozumiałe przekleństwo, do dna paki przycisnął ręką psa, wyrwijącego się, żeby wyskoczyć z wozu, potem przyłgął do kolby i trzymając przy oczach swój cudowny przyrząd, nacisnął spust. Ogłuszony hukiem Wańka stchórzył i wcisnął się w dalszy kąt skrzyni ciężarówki. Żalony krzyk zagłuszył niosące się nad bagnami echo wystrzału. Stary wycelował i puścił krótką serię, ale tym razem, zdaje się, obok.

Coś uderzyło w maskę i zadudniło po dachu kabiny.

– Na górze! – krzyknął Wańka, patrząc z przerażeniem, jak z trzaskiem rozchodzi się rozcinany nożem brezent. Ale było za późno. W dziurze pokazała się kosmata głowa i w mgnieniu oka przygięta żylasta postać znalazła się w ciężarówce. W nos uderzył ostry nieprzyjemny zapach. Z krótkim rykiem wilczarz rzucił się na intruza, zaciskając szczęki na ręce z nożem, a potem wczepił się dzikusowi w gardło, zachłystując się tryskającą krwią.

Jednak bitwa była już przegrana. Sierafim Antonowicz zdążył oddać jeszcze parę strzałów, ale potem automat się zaciął i stary, klnąc, odrzucił go, wyciągając swój szeroki nóż. Przebiwszy brezent, do skrzyni wpadło kilka dziryków, jeden z nich przeszedł jakieś trzy palce od głowy Wańki. Ten drgnął i zacisnął powieki: umierać z zamkniętymi oczami było nie tak strasznie...

I wtedy ciężarówka zatrzęsała się, jakby w agonii – zrzucając z siebie jak insekty ludożerców, którzy zdążyli wskoczyć na dach – zakołysała się i niemal runęła na bok. Na zewnątrz rozległ się ciężki plusk, potem zgrzyt i łoskot wylatujących z Drogi samochodów i wreszcie potworny, niewyobrażalny ryk, od którego Wańce zatkało uszy i zrobiło się gorąco i mokro w spodniach.

Przemógł się, uniósł i przeszedł na kolanach na tył, skąd Sierafim przez pocięty na paski brezent w osłupieniu obserwował to, co działo się na Drodze.

Z najbliższego bajora, w rodzaju tego, po którym Wańka biegał półtorej godziny wcześniej, polując na kaczki, na Drogę wypełzło, czy wręcz zważyło się olbrzymie, lśniące w świetle księżycy cielsko, najbardziej przypominające pękaty od tłuszczu kurdiuk z tuzinem podobnych do batów macek. Podciągając się na nich, rozrzucając na boki zardzewiałe samochody, stwór wydostał się na środek szosy i szperał teraz swoimi mackami dookoła, zagarniając i pochłaniając niewidzialną paszczą wijących się i wrzeszczących z przerażenia dzikusów.

Pozostali przy życiu zaczęli rzucać się do ucieczki z powrotem na wschód, ale macki zastępowały im drogę. Przepychały samochody, wyłuskiwały schowanych pod ciężarówkami. Niezamknięte osobówki, w których próbowali się ukryć inni, macki patroszyły jak puszki konserw, i pełżyły w ślad za biegnącymi, dając Wańce cień nadziei, bo stopniowo oddalały się od ich urala.

Koszmarne polowanie trwało nie dłużej niż piętnaście minut. Nasycone monstrum wróciło

na pobocze, wymacało najbliższe trzęsawisko i wzbijając fontannę bryzgów, wpełzło pod powierzchnię. Jeden z jego pejczy zatrzymał się jeszcze na Drodze; potwór wyciągnął z szuwarów skurczoną ludzką figurkę, uderzył nią o asfalt i pociągnął za sobą do bagna, wydając ostatni ryk.

Sierafim Antonowicz siedział, ciężko dysząc i trzymając się za serce; pies podpełzł bliżej niego ze stulonymi uszami i lizał mu dłoń. Wańka otarł ściekającą mu po podbródku ślinę i obmacał spodnie. Minęło co najmniej pięć minut, zanim zdołał wydusić z siebie pierwsze słowa.

– To nie wróci?

– Mnie pytasz? Jak żyję sześćdziesiąt lat, pierwszy raz widzę taką paskudę. Czy wróci, czy nie, dziś nie dam już rady iść dalej. Serce mi dokazuje...

Starzec nabrał powietrza, podniósł się i wyjrzał z paki ciężarówki.

– Zdaje się, że więcej kudłatych nie zostało. Albo to coś wszystkich pożarło, albo niektórym udało się dać drapaką. A ja, jeśli mam być szczery, myślałem, że to koniec, kaput. Niezbadane są drogi Twoje, Panie... – Oparł się wycieńczony o burtę.

– Macie sześćdziesiąt lat? – Wańka umiał dobrze liczyć do stu, matka go nauczyła, i szybko obliczył, o ile ten zadziwiający człowiek jest starszy od obu długowiecznych mieszkańców jego wsi.

– Co, że stary jestem? – uśmiechnął się tamten, z trudem przełykając ślinę. – Kiedyś żyli i do osiemdziesiątki, a u mnie w rodzinie dociągali do dziewięćdziesięciu. Do tej pory ciągle jakoś nadrabiałem miną, ale teraz czuję, że słabnę. Cholerna pompa już nie jest taka jak wcześniej – poklepał się w pierś. – Umiesz jeździć na rowerze? Bo jeszcze kopnę w kalendarz na środku Drogi... Trzeba cię też nauczyć używać mapy, na wszelki wypadek.

Wańka nic nie powiedział, chociaż doskonale rozumiał, do czego zmierza staruszek. Początkowo poszedł za nim wcale nie dlatego, że umierał z chęci ujrzenia tej cudownej Moskwy, po prostu naprawdę, naprawdę bał się zostać samemu na Drodze po wszystkim, co zobaczył i przeżył. Poza tym z Sierafimem Antonowiczem nie było nudno, pomagał Wańce zapełniać głowę najróżniejszymi fantazjami, nie zostawiając miejsca na rozmyślania o najbliższej przyszłości oraz – jeśli miał być ze sobą szczery – o nieuchronnym powrocie do wsi. Ale im dalej razem szli, im wyżej unosiła się zasłona tajemnicy – i nad nieprawdopodobnie ogromnym światem wokół, i nad losem, który spotkał go dziesięciolecia wcześniej – tym bardziej Wańka zapominał o swoim domu, tym mocniej przesiąkał marzeniami Sierafima Antonowicza. A jednak na to, żeby podjąć ostateczną decyzję, było jeszcze za wcześnie.

– Nawet jeśli zdechnę, to jest tego warte – wymamrotał starzec. – Przez dwadzieścia lat myślałem tylko o tym i teraz już nie zawrócę. Trzeba dojść, trzeba! Żeby chociaż popatrzeć... Dobra, chodź, wystawimy za drzwi tego chłopaka – wskazał głową rozpostarte na końcu paki ciało zabitego przez psa dzikusa – I spać.

Już po kilku minutach spokojnie pochrapywał. Wańka jeszcze długo nie spał, siedział, wsłuchując się w noc, chwilami drżąc i usiłując wyrzucić z głowy widok bagiennego potwora łąpczywie omiatającego mackami Drogę w poszukiwaniu ofiar. Kiedy się obudził, Sierafim Antonowicz był już na nogach i dziarsko pogwizdując, przygotowywał śniadanie. Ból serca minął; razem z lękiem przed rychłą śmiercią opuściły starca myśli o poszukiwaniu następcy.

Jednak, ku radości Wańki, nie zrezygnował z danej obietnicy, że nauczy go jeździć na rowerze.

Chmury się rozwiały, w plecy znów świeciło im ostre słońce. W jego promieniach, w podmuchach świeżego wiatru, który dotarł nad bagna z jakichś innych jasnych, odsłoniętych miejsc, Wańka widział obietnicę szybkich zmian na lepsze; prześladowające go przez całą noc koszmary szły w zapomnienie, a wszystko, co wydarzyło się wczoraj na jego oczach, zdawało się teraz upiornym niedorzecznym snem.

Po półgodzinie niezdarnych prób ujarznienia skrzypiącego starego roweru, nauczył się w końcu utrzymywać równowagę i w zachwycie zataczał teraz kręgi wokół uśmiechającego się starca, na nowo odkrywając dla siebie radość ruchu, jak szczeniak, który niedawno stanął na okrzepłych łapach i próbował swoich sił. Teren stopniowo się zmieniał. Bagna wysychały, oddalały się od szosy, rachityczne sosenki nieśmiało wyglądające zza pagórków rozrastały się na coraz solidniejszej, twardszej ziemi. Niezmienna pozostawała tylko Droga, zawalona tysiącami, dziesiątkami tysięcy pustych samochodów.

– No ale gdzie się podziali wszyscy ci ludzie? – po raz dziesiąty spytał Wańka. – I dlaczego się zatrzymali?

– Myślałem, że kolumnę zbombardowano, gdzieś bliżej początku. Ale dozometr milczy... Najprawdopodobniej po prostu porzucili samochody i poszli dalej pieszo. Zupełnie nie wiem, co się z nimi stało. Najwyraźniej ewakuacja odbywała się w pierwszych dniach wojny. Zupełnie nas o niej nie informowali... Tak czy inaczej, wkrótce się tego dowiemy. Ta kolumna gdzieś się kończy.

– A dlaczego wybraliście się do Moskwy sami? Inni z waszej osady nie chcieli?

– Nikt już nie wierzy, że coś tam jeszcze jest – niechętnie odpowiedział Sierafim Antonowicz po westchnieniu. – Wszyscy są całkowicie zadowoleni z tego życia, które prowadzimy... które oni prowadzą. Faktycznie – jest znacznie lepsze od wszystkiego, co widziałem po drodze. I być może od wszystkiego, co jeszcze zobaczę. Ale czy na długo? Nadejdzie dzień, w którym przepali się ostatnia żarówka, do której zdołaliśmy dotrzeć. Zatrzyma się reaktor w naszym okręcie. Skończą się naboje. Nie będziemy już mieli czasu uczyć naszych dzieci czytać i pisać, znajdzie się ważniejsza wiedza: jak rozpałać ogień przez tarcie, jak prawidłowo wybrać gałąź na łuk... Cywilizacja to zamek z piasku, piękny, ale nieprawdopodobnie kruchy. Trzeba ciągle go doglądać, inaczej wysuszy go wiatr czasu, rozeschnie się, rozleci w pył. Trzy pokolenia, które nie potrafią czytać, wystarczą, żeby całkowicie zapomnieć i utracić klucz do zrozumienia wszystkiego, co żmudnie tworzono i starannie przekazywano sobie nawzajem przed dwieście poprzednich pokoleń. Cofniemy się o pięćset lat. Zamienimy się w feudalne księstwa, może nawet w plemiona, zostanie nas bardzo mało, będziemy zbyt rozproszeni, porzrzućani po gigantycznym terytorium naszego dawnego kraju. Język, którym trzydzieści lat temu mówiono od Pskowa po Kamczatkę, zacznie powoli odchodzić w zapomnienie, znikać pod naroślami miejscowych słówek, pojęć, mutować razem z roślinami i zwierzętami, razem z nami samymi, aż przekształci się w setki daleko spokrewnionych narzeczy. Już nigdy nie zdołamy się zjednoczyć, żeby razem szturmować ten szczyt, z którego spadliśmy w przepaść po jednym fałszywym kroku. Mówiłem o tym z naszymi, mówiłem o tym pewnie tysiące razy. Nikt nie chce słuchać. Ci ludzie żyją dniem dzisiejszym, nie chcą myśleć o tym, co będzie jutro. A ja jestem na to za stary. Wiem, że dla mnie samego jutro już nie nadejdzie, ale boję się odchodzić, myśląc, że jutro nie nadejdzie dla wszystkiego, co zostało z ludzkości... Rozumiesz? – Przytrzymał kierownicę roweru i zajrzał Wańce w oczy. – Tak wcale nie musi być. Przecież jeszcze wszystko można odzyskać... Teraz

najważniejsze to dojść do końca.

Droga zaczęła piąć się w górę na nietypowo wysokie wzgórze. Wańka zeskoczył z roweru i ruszył pieszo. Nie zrozumiał wszystkiego z tego, co powiedział starzec, ale mimo to Sierafimowi udało się зараzić go swoją wiarą w możliwość innego, lepszego życia, w którym ludzie mogą budować takie trasy, nie obawiać się głodnych zim, bronić się przed drapieżnikami i ludożercami przy pomocy skutecznej broni palnej, widzieć w ciemnościach i nie umierać na rozmaite choroby w wieku pięćdziesięciu lat jako zgrzybiali starcy. I jeśli w tym celu trzeba było zapomnieć o powrocie do domu i przejść z Sierafimem Antonowiczem do końca Drogi – cóż, teraz był na to gotowy.

Podejście się skończyło. Wańka zostawił rower i rzucił się naprzód, żeby jako pierwszy nacieszyć wzrok widokiem, który otworzy się ze wzgórza. I już w pierwszej chwili wszystko się wyjaśniło. Obejrzał się z rozpaczą na Sierafima Antonowicza, który dobrodusznie się uśmiechając, podchodził za nim – ostatnie kilka kroków było dla niego szczególnie trudne – i zapragnął, żeby staruszek nigdy nie dotarł na szczyt.

Rozciągającą się w dole dolinę przecinała rwąca ciemna rzeka. Droga, zbiegając ze wzgórza do brzegu, dochodziła do betonowego mostu, którego dwa czy trzy środkowe przęsła już dawno spadły do kotłującej się, spienionej wody. Na kikutach jezdni po obu stronach wyłomu tłoczyły się ciasno autobusy i kilka wielkich, masywnych pojazdów z długimi lufami na płaskich wieżyczkach.

A za mostem... za mostem Droga się urywała. Ledwie kilkadziesiąt metrów dalej sześciopasmowa trasa zamieniała się w wąski trakt wysypany żwirem, który z impetem wbijał się w nieprzebyty las. Nieopodal czerniały wraki koparek, walców, traktorów... Dalej nie było niczego.

– Czyli jednak jej nie dokończyli... – Sierafim Antonowicz przesunął sobie dłonią po oczach, jakby w nadziei, że miraż się rozwieje. – Chodźmy no, synku, zejdziemy do mostu – jego głos drżał; Wańka przestraszył się, że staruszek się rozpłacze, i posłusznie pokiwał głową.

– Geniusze, puścili czołgi po niedokończonym moście. Prezydent przyjeżdżał... Uroczyste otwarcie... Narodowy projekt... – mamrotał do siebie pod nosem Sierafim Antonowicz, stojąc przy samej krawędzi, jakoś tak całkiem po dziecinnemu dłubiąc w kruszącym się cemencie czubkiem buta i obserwując, jak ten spada do mętnozielonej rwącej rzeki.

Wańka stał opodal, rozglądając się wokół zagubionym wzrokiem. To był koniec ich drogi, rozumieli to i starzec, i chłopiec. Wybujała przez dziesięciolecia tajga rozsadziła i wchłonęła marny żwirowy nasyp, nie pozostawiając po nim choćby śladu. Nawet nie było co marzyć o przedzieraniu się przez dziki las dziesiątkami, setkami kilometrów i podążaniu nieprzebytą knieją za duchami ewakuowanych. Ostatniej wielkiej budowy w tym kraju nie doprowadzono do końca.

Sierafim Antonowicz usiadł na krawędzi wyłomu, zwiesił nogi i wciąż coś szeptał, czasem z żalem, czasem wściekle, i siedzącemu obok Wańce z rzadka udawało się rozpoznać poprzez szum rzeki strzępki jego kipiących słów:

– Wiodące technologie... Trasa w przyszłość... Wyprorokowali! Tak jest! Właśnie tam prowadzi: w naszą przyszłość...